

Nawet Zofia Kucówna nie stworzyła znaczącej roli w sztuce Charlott Keatley

Kobieta o kobietach

Olga Kulczycka

Powszechnie wiadomo, że mężczyźni zajmują w teatrze pozycję uprzywilejowaną. To przecież właśnie dla nich powstaje znacznie więcej interesujących ról niż dla spychanych na drugi plan kobiet. *Dom Bernardy Alba* Lorki czy *Dom kobiet* Nałkowskiej są wyjątkami, a te, jak wiadomo, tylko potwierdzają regułę. Nic więc dziwnego, że każdą nową sztuką o kobietach i z ich wyłącznym udziałem może liczyć na zainteresowanie, a wśród aktorek budzi nadzieje na zagranie naprawdę dużej roli. Nadzieje mają jednak to do siebie, że nie spełniają się wyłącznie pod wpływem pragnień...

Charlott Keatley w zamieszczonym w programie tekście napisała: *W tej sztuce kobiety występują w imieniu nas wszystkich i to dzięki nim widzimy ogromne przemiany społeczne dwudziestego wieku. Chciałam pokazać, jak bardzo dramatyczne jest „zwyčajne” życie kobiet.* Nie wątpię, że autorka chciała, ale wiem, że jej się to nie udało. Powód jest prosty, chociaż zasadniczy – wadliwa konstrukcja całej sztuki. Brak w niej dramaturgii, a ciągle zmiany czasu i miejsca wraz z karkołomnymi przebiegórkami zamiast dynamizować akcję, tylko irytują i... nużą. Nawet przewijające się przez cały spektakl sceny dzieciinne, w których odpowiednio przebrane aktorki mają po 5 czy 9 lat, nie stały się elementem łączącym, ale humorystycznymi przerywnikami, z których niewiele wynika.

Rozważania autorki o skomplikowanych relacjach pomiędzy matkami a córkami (Keatley przedstawia cztery pokolenia kobiet w obrębie tej samej rodziny), a także o roli mężczyzn w ich niełatwym życiu mogłyby być nawet interesujące, jednak pod warunkiem, że zostałyby przedstawione z większym wyczuciem sceny. Trwający ponad dwie godziny spektakl wlecze się okrutnie, a następujące po sobie sekwencje nie wnoszą wiele nowego. Można by skró-

cić go niemal o połowę – i to bez uszczerbku dla konstrukcji i wymowy dramatu. Zarzuty te dotyczą w równym stopniu reżysera co autorki, bowiem w teatralnym programie Keatley napisała także, że współpracowała z reżyserem nawet przerabiając tekst. Rozbrajająca jest przy tym skromność 35-letniej autorki: *kobieca świadomość i magia tej sztuki pojawiają się w każdej realizacji bez względu na charakter reżysera, ponieważ obie te rzeczy zawarte są w tekście.* Gratuluję dobrego samopoczucia!

Jak w tej sytuacji radzą sobie cztery biorące udział w spektaklu aktorki? Sądzę, że grają najlepiej, jak potrafią, oczywiście ograniczone wieloma mieliznami tekstu. Niektóre kwestie brzmią bardzo prawdziwie, skupiają uwagę, a nawet ocierają się o życiową i sceniczną prawdę. Powstaje jednak pytanie – ile jest w tym z osobistych przeżyć kobiet-aktorek, a ile czystego aktorstwa? Wiem, że tych dwóch spraw rozgraniczyć nie można, ale akurat ten tekst jest pod tym względem szczególnie... Zofia Kucówna, Eugenia Herman, Bożena Strykówna i Joanna Szurmiej (z ogniska teatralnego) mają więc trudne, ale zarazem ułatwione zadanie. W efekcie żadna nie ponosi aktorskiej klęski, ale też żadna nie tworzy prawdziwej kreacji.

Spektakl w Teatrze Ochoty udowodnił, że niezwykle trudno jest pisać sztuki dla kobiet i o kobietach, nawet jeśli robi to przedstawicielka tej właśnie płci. Okazało się też raz jeszcze, że częste zmiany kostiumów i miejsca akcji nie mogą zastąpić klarownie przedstawionego konfliktu i przemyślanej reżyserii. Bo co prawda teatr jest magią, ale rządzą nim bardzo konkretne prawa i reguły.

Charlott Keatley *Przykazała mi mamę*, przekł. Monika Beyer, reż. Chris Baldwin, scen. Katarzyna Proniewska-Mazurek, kostiumy Justyna Łagowska; Teatr Ochoty w Warszawie, prapremiera polska 23 czerwca 1995